



Artykuł o Bibliotece Waryńskiego czytaj na str. 8



Witamy „Rancho Texas” — nowy film przygodowy produkcji polskiej. Felieton poświęcony temu filmowi zamieszczamy na stronie 12

JULIAN BRYSZ

Pochwała łódzkiego KIOSKARZA

Historia ta rozpoczyna się w najruchliwszym punkcie miasta — na rogu Piotrkowskiej i Andrzejki. Bez względu na porę dnia na przystanku oczekuje tu mrowie ludzi. Ktoś uważny spostrzeże jednak, że ostatnio zabrakło wśród tej ciżby pewnego akcentu.

Stolarski stał tutaj 30 lat. Pomyślcie — dzień w dzień, przez 30 lat, zimą przysypując zmarzniętymi nogami i zacieraając zgrabiałe ręce, latem wygrzewając się na rozprężonym murku. Wieczorem wracał do domu, a wczesnym rankiem stał znowu na posterunku przy swojej skrzynce z papierosami i gazetami. Dziś nie ma już skrzynki i nie ma Stolarskiego.

„Nie, Stolarski nie umarł — tłumaczy mi pan Zebur, dyrektor łódzkiego „Ruchu”. — Musieliśmy zlikwidować jego stoisko, gdyż według orzeczenia władz miejskich tamowało ruch uliczny. Chciałem już dawno dać Stolarskiemu przyzwolity

Dalszy ciąg na str. 3

KAROL BADZIAK

Studium OSZUSTA czyli hochsztapler idealny

„Gazety poranne przyniosły sprawozdanie z procesu Cynjana Wielkiego. Ten wspaniały pan wzbudził we mnie uczucie podziwu graniczącego z czułością. A więc są u nas ludzie o bujnej pomysłowości, o odważnych koncepcjach, ludzie z twórczym rozmachem, dowcipem i wdziękiem. Cóż to za sympatyczna bestia ten Cynjan. Poszedłbym do więzienia uściskać mu rękę, ale się boję, że mi ten śliczny dryblas sprzeda przy tej okazji moją własną prawą rękę.

Cynjanem możemy się chlubić przed Europą. Cynjana nie można przemilczeć”.

To nie ja, to Antoni Słonimski przed trzema dziesiętkami lat tak zachłystywał się w „Wiadomościach Literackich” pomysłowością, aktorstwem i zdolnościami handlowymi tego genialnego oszusta. Ludzie genialni zawsze pobudzali wyobraźnię poetów i zapładniającą wpływali na ich twórczość.

Czytelnikom młodszej generacji przypominę, że Cynjan Wielki, to był ten facet, który małorolnemu chłopu sprzedał Kolumnę Zygmunta, średniorolnemu tramwaj, a kulakowi prawo do pobierania kopytkowego na moście Kierbedzia. Poza tym rozebrał na złom rdzewiejące szyny kolejki wąskotorowej i sprzedał jakiemuś Francuzowi Dworzec Główny na salę dansingową!

Jednym słowem był to kupiec nie lada. Nawet starożytni Fenicjanie mają się tak do niego jak sprzedawca kiosku z papierosami do ministra handlu.

Ale wbrew oponentom, hipochondrykom, śledziennikom i innym egzystencjalistom pragnę zapewnić, że nie zanikają tradycje w narodzie.

Opowiem dziś państwu historię klasycznego egzemplarza z gatunku niebieskich ptaków, jakie hodujemy dla zachowania starych, dobrych obyczajów. Powie działabym nawet, że w swej trosce posunęliśmy się tak

dalece, iż grozi nam klęska urodzaju na tym polu, czego dowodem jest choćby ostatni proces Szeremety and Company.

Nasz współczesny Cynjan nazywa się Stefan Popadyńca i fantazją, rozmachem, pomysłowością nie ustępuje w niczym swemu wielkiemu poprzednikowi. Powiedziałabym, że raczej go prześcignął w wyborze forteli, rozszerzył arsenał środków, zwiększył bazę działania, unowocześnił metody i doprowadził je do perfekcji, jednym słowem uczeń prześcignął mistrza i to o kilka długości.

Między naszymi szacownymi bohaterami jest jeszcze jedna drobna, aczkolwiek istotna różnica, a mianowicie ta, że akrobacje handlowe Cynjana Wielkiego

w perspektywie czasu nabrały walorów anegdotycznych i historycznych, gdy tymczasem wyczyny Stefana Popadyńca dla wielu osób były przeżyciem przykrym, bo autentycznym.

W pewnych określonych sferach nazwisko Popadyńca posiadało swoją wymowę i znaczenie, natomiast niezorientowanego Czytelnika dopiero obecnie będę miał zaszczyt zapoznać z charakterem działalności p. Stefana. Tuszę jednak, że ci co go dotychczas nie znali nie na tym nie stracili, gdy tymczasem wielu znajomych p. Stefana nie może o sobie tego powiedzieć. W każdym bądź razie platoniczna znajomość za pośrednictwem „Odgłosów” jest zapewne o wiele bezpieczniejsza.

Nazwisko Popadyńca związane jest z wieloma głośnymi aferami powojennymi w Polsce. Pozwolę sobie przypomnieć tylko głośną ongiś sprawę „Tajemnic hotelu Warszawa” czy też „aferę łódzkich kuźnierzy”, które zbułwersowała przed paroma laty światek kupiecko-handlowy vel handlarski naszego miasta.

Statystą to p. Stefan w tych aferach nie był.

Dalszy ciąg na str. 6 i 7

OSZUSTWA STRZEŻENIE

Wielka... w biurze Ł.H.F.F. wadzacy... ra r...
dnia 18 maja 1959 r.

ła była w końcu usunąć z pracy.

„Dulles ustąpił ze stanowiska, poruszenie w kołach dyplomatycznych Zachodu! — rozkrzyczany chłopak łapie w locie pięćdziesięciogroszówkę i biegnie dalej. Pamiętajcie?

Ten element miejskiego folkloru należy już do bezpamiętnej przeszłości. Zastąpiły go kioski „Ruchu”. Trochę szkła i drewna, ni to ładne ni brzydkie, obciążone zszarzałą farbą, z wżęskami z zakurzonej ekspozycji w witrynie. Nie krzyczą wystawionymi na zewnątrz kolorowymi plachtami gazet, bo i okładki bezbarwne, i wystawiać nie można — wszystko po chwili pokrywa kurz.

Jednak te jednostajne, niebieskawe budki, rozsiadane wszędzie od śródmieścia do dalekich przedmieść, właśnie przez swoją identyczność stanowią pewien akcent w krajobrazie miasta. Kioski śródmieścia pełnią rolę zwykłych punktów handlowych. „Ruch” przemienił je w kramiki, osobliwe skrzyżowanie drogerii ze sklepami zabawkarskimi i materiałów piśmiennych. Inna jest rola kiosków w oddalonej od centrum dzielnicy. Sklepy zamyka się tu wcześniej, ruch uliczny zamiera, tylko otwarty długi wieczorem kiosk jarzy się punktem światła. Ukryty za szybą sprzedawca, to doskonały znawca swojej dzielnicy. Z paru słów, zamienionych z klientem przy kupnie gazety dowie się niejednej tajemnicy. Z daleka już widząc nadchodzącego, wie co mu przygotować — „Głos”, „Dziennik” i „Morskie” czy 10 „Sportów” i zapalki. Po sposobie płacenia potrafi niemal bezbłędnie określić zaamożność klienta, wie jaki kto ma charakter, gdzie jest potrzebna gosposia i w jakiej rodzinie nastąpiła kłótnia.

Kioskarze to zwykle inwalidzi, których konieczność zmusiła do zajęcia się tą pracą. Tryb życia i rodzaj zajęcia czyni z nich natury kontemplacyjne, „żywe pamiętniki”.

Ludzie bezwiednie powierzają kioskarzowi swoje najskrytsze tajemnice. Co za pasjonujący temat — przedśledzić choćby te czki stałych prenumeratorów. Każdy peryferyjny kioskarz ma zwykle około 100 abonentów, którzy regularnie kupują pewne tytuły. By nie zostały one wykupione przez przygodnych klientów, odkłada się je do teczek, opatrzone nazwiskiem i wykazem zamawianych czasopism.

Zestawy tytułów odpowiadają nam bezbłędnie na pytanie: w jakiej rodzinie są małe dzieci, kto posiada auto, gdzie żona ma odmiennie zainteresowania niż mąż. W kiosku pana Sieprackiego obok Radiostacji dowiemy się, że jeden ze znanych



POCHWAŁA łódzkiego kioskarza

redaktorów Polskiego Radia interesuje się przede wszystkim sportem i pismami satyrycznymi, że mieszkający w tym rejonie redaktor „Głosu Robotniczego” jest stałym abonentem „Nowych Dróg” i „Zeszytów Teoretycznych”, że czasopisma literackie czytają wyłącznie niemal nauczyciele języka polskiego. U pana Rakowieckiego z krańcówki na Chojnach znajdziemy następujący zestaw zamówionych przez jednego z klientów czasopism: „Poznaj świat”, „Mówią wieki”, „Wiadomości Filmowe”, seria „Tygrys”. Dowiemy się, że ich odbiorca jest starszy już buchalter, który pewnie za młodu chciał być podróżnikiem.

Studiując te czki, można stwierdzić, że przeciętnym

niedzielnym pokarmem duchowym „typowej” rodziny jest zestaw: „Przekrój”, „Dokoła świata”, „Panorama”, „Film”, „Przyjaciółka”, niezależnie od tego, czy będzie to krawiec, lekarz czy reżyser filmowy.

Ludzie szukają w czasopismach przede wszystkim rozrywki, wychowawcza czy kształceniowa rola prasy mniej ich interesuje. Czasopismo fachowe lub „półfachowe”, jakim dla aktora będzie „Dialog”, dla nauczyciela „Głos Nauczycielski”, dla inżyniera „Problemy”, do staje się „służbowo” w swoim miejscu pracy, albo nie czyta się go wcale.

Pobieżne choćby zestawienie ilości sprzedawanych przez kiosk tytułów

Tytuł pisma:	Kiosk	
	przy Radiostacji	na Chojnach w egzemplarzach:
„Dziennik Łódzki”	190	150
„Express Ilustr.”	110	500
„Przyjaciółka”	90	500
„Karuzela”	25	200
„Przegląd Kulturalny”	15	2
„Nowa Kultura”	8	2

daje nam lepsze wyobrażenie o charakterze mieszkańców dzielnicy niż niejedno wnikliwie studium czy statystyka.

W piątek po południu długie kolejki oczekujących ustawiają się przed setką kiosków, prowadzących „Kukuleczkę”. Tego dnia wyraźnie spada sprzedaż gazet i innych artykułów. Fortuna przede wszystkim!

Zaleceniem dyrekcji „Ruchu” jest, by odbieranie kuponów odbywało się przy pomocy dodatkowego sprzedawcy i w drugim okienku. Jak to wygląda w praktyce? Dobrze wiemy. No cóż, za cenę mirażu oplać się niecierpliwie w kolejce, prawda? Oblężone kioski godnie choć powolnie pełnią i tę swoją funkcję społeczną.

— Proszę „Grunwaldy”.
— Nie ma.
— „Przekrój”?
— Nie ma.
— „Express”?
— Już nie ma.
Klient odchodzi od kiosku zdenerwowany.

„Nie ma, tylko tyle umięją powiedzieć — mruczy pod nosem — zawalił kiosk jakimś gazetami, których nikt nie kupuje, a potrzebnych rzeczy nie chce im się sprowadzić”.

Klient nie wie, że kioskarz, to nie ekspedientka w sklepie, że nie jest „nacetacie”, tylko na procentie i zależy mu na atrakcyjnych artykułach.

Klient nie wie, że „Ruch” lubj czasem rozdzielać prasę metoda „pi razy oko”, mimo monitów kioskarza.

Klient nie wie, że pani Muzejowa z Chojen wstaje o 4 rano i biegnie po gazety, by mieć je wcześniej niż przyjedzie samochód.

Klient nie wie, że wspomniany już pan Rakowiecki z własnej inicjatywy pozakładał te czki dla okolicznych

dzieci i uczy je regularnego czytania „Młsa”, „Świerszczyka”, „Piomyka”, by wychować z nich później ludzi, dla których gazeta będzie pierwszą potrzebą.

* * *

— Rozprowadzamy przeszło 400 różnorodnych artykułów pozaprasowych — mówi mi p. Kajmers z dyrekcji „Ruchu”. — Gdy przyszedłem tu pracować przed dziesięciu laty, sprzedawaliśmy tych artykułów za jakieś — przeleżając na obecna walutę — 50 tysięcy złotych. Obecnie



nasze kwartalne obroty tymi artykułami wynoszą... 26 mln zł. Takiego wachlarza artykułów nie prowadzi żadne inne przedsiębiorstwo handlowe. Dzięki specjalnemu charakterowi sprzedaży kioskowej, osiągamy najszybsza wśród wszystkich przedsiębiorstw „rotację”. Towar leży u nas bardzo krótko. Stąd i występujące braki, które mają notabene i inne przyczyny. Np. Centrala Przemysłu Papierniczego traktuje nas jako śleć uzupelniającą i daje nam gorsze

materiały piśmienne. Tymczasem to właśnie „Ruch” rozprowadza zasadniczą ilość tych artykułów, bo można u nas kupić bez kolejki, o każdej porze dnia i w każdym punkcie miasta. Sprzedajemy miesięcznie w Łodzi i województwie kosmetyków za 1,5 mln złotych, materiałów piśmiennych za 1,2 mln złotych, zabawek za tę samą kwotę, samych proszków od bólu głowy za 400 tys. zł miesięcznie. A przy tym rozprowadzamy 60 proc. wszystkich wyrobów tytoniowych.

Rozumiem p. Kajmersa — szybki obrót, duży zysk, to są argumenty nie do pogardzenia. Ale, czy kiosk musi być kieszonkowym „PeDeTem” to sprawa do dyskusji przynajmniej tam gdzie cierpi na tym rozsądny kolportaż pism.

Ciekawe są liczby, dotyczące kolportażu prasy. Łódzki „Ruch” prowadzi sprzedaż kioskową 270 tytułów gazet i czasopism. Łącznie z prasą kolportowaną wyłącznie w prenumeracie daje to liczbę 360 tytułów. W ubiegłym roku dyrekcja łódzka sprzedała gazet za 104.117.000 zł.

— Rozbudowujemy się w szaleńszym, rzec można tempie — mówi dyrektor łódzkiego „Ruchu”. — W roku 1957 mieliśmy 512 punktów sprzedaży, obecnie mamy 634, z czego 274 w Łodzi i 360 w województwie, w najbardziej nawet zabitych deskami miejscowościach. Do końca roku bieżącego uruchomimy jeszcze 100 dalszych kiosków, przeważnie poza Łodzią.

Nasze magazyny i oddziały terenowe nie wytrzymują takiego tempa, pracują w warunkach nieodpowiednich. Robimy wszystko, żeby nastarczyć stale wzrastającemu zapotrzebowaniu klienta.

* * *

Wracasz już z pracy. Wyśladasz z tramwaju na swoim przystanku. Z budki wygląda kioskarz, zachęcając do pogawędki i kupna popołudniowej porcji papierosów.

— Pan wie — mówi kioskarz — dziś o mało nie przejechało tego chłopca spod 15. Jakieś 20 metrów stąd. A w



Krótki opis czterdziestu największych nie odnalezionych skarbów świata (III)



1. ZAKONNICA BEZ GŁOWY. Skarb Samuela Champlaina — złoto w sztabach, przedstawiające milionową wartość — zakopany jest od r. 1627 w okolicy Zatoki Młyńskiej (Nowy Brunświk). Duch „zakonnicy bez głowy” strzeże tej kryjówki.

2. TITANIC. Wielki transatlantyk „White Star Line”, który zatonął 14 kwietnia 1912 r. na skutek zderzenia z podwodną górą lodową, przewoził siedem miliardów franków w złocie. Stracone na zawsze...

3. OAK-ISLAND Tajemniczy skarb, prawdopodobnie tylko legendarny, jest jakoby ukryty na Oak-Island (Wyspę Dębu, Nowa Szkocja). Krąży wokół niego rozmaite wersje: być może są tam koronne klejnoty Francji, może skarb korsarza Williama Kidda, a może jakiegoś innego rozbójnika.

4. CHICHEN ITZA. W otchłaniach Chichen Itza (Jukatan) leżą zamulone ogromne bogactwa, które władcy Majów wrzucali do świętej rzeki jako ofiary dla bogów.

5. MATANZAS. W głębi zatoki Matanzas (Kuba) spoczywa jedenaście galeonów admirała Rodryga Farfana, które zatonęły z wielkim ładunkiem złota.

6. BOBADILLA. Dwadzieścia pięć galeonów gubernatora F. Bobadilla rozbito się w 1502 r. o skały przyładka Engano (San Domingo). Wraz z nim zatonął cały ładunek, składający się z bezcennych kruszców, klejnotów oraz szczerzobłogoszta, wagi 3.310 funtów.

7. CEMENTARZYSKO SKARBÓW. Morze Sargasso na Atlantyku, gdzie wśród wodorostów spoczywają niezliczone wraki statków hisz-

pańskich, przewożących w XVI i XVII stuleciu złoto do Europy.

8. SREBRNA ŁAWICA. W odległości 160 mil od Puerto Plata (San Domingo) zatonął w 1641 galeon hiszpański „Nuestra Señora de la Concepcion”. Wiózł on 10 ton złota, 30 ton srebra i wielką ilość drogich kamieni. W r. 1684 korsarz angielski William Phips wydobyl 26 ton złota i srebra. Od tego czasu nikt nie zdołał ponownie odnaleźć wraku.

9. SAN FERNANDO. Galeon, który w 1597 zatonął w pobliżu Wyspy św. Łucji, przewoził miliardowy ładunek złota. Według legendy „potwór o hebanowych włosach” strzeże wraku.

10. CERRITA COLORADO czyli Czerwone Wzgórze, na wyspie Aruba (Wenezuela). W pozostawionej grocie spuszczony ksiądz Domingo Mugnoz i kochanka jego Wanda

ukryli kosztowności, pochodzące prawdopodobnie z korsarstwa. Oboje zmarli w 1826, nie ujawniwszy kryjówek.

11. GUATAVITA, święte jezioro (Kolumbia), do którego w XVI w. Indianie wrzucili skarby, oceniane na miliardową wartość.

12. SKARB INKÓW, najwspanialszy ze wszystkich skarbów, ukryty w Peru.

13. SKARB JEZUITÓW zakopany w Boliwii, (patrz artykuł w poprzednich numerach „Odgłosów”).

14. CATAMARCA. W r. 1629 don Balbos, biskup Kordoby (Argentyna) uciekł z miasta przed zbliżającym się nieprzyjacielem, zabierając ze sobą skarbiec katedry, 15 kandeabrów z masywnego złota, kufry ze złotem, srebrem i klejnotami, złote posągi i relikwiarze. Biskup i cała jego świta zostali zamordowani przez Indian. Skar-

by znajdują się jakoby w podziemiach jednej ze świątyń w górach Catamarca.

15. SANTA CRUZ. Galeon o tej nazwie zatonął w 1680 r. w zatoce Manta (Ekwador). Stare dokumenty mówią, że „jedna mila na północ od cypla Świętej Heleny znajduje się wrak Santa Cruz, która płynęła z ładunkiem złota i srebra”. Dokładniejsze położenie wraku zostało później ustalone: 50 mil na północ od wysepki El Morro.

16. WYSPA KOKOSOWA skarbnica korsarzy (patrz artykuł).

17. GALAPAGOS (Wyspy Zółwie, należące dzisiaj do Ekwadoru). Korsarz francuski Desmaret z Dieppe zakopał w r. 1673 swój ogromny łup na wyspie Bindloe. Jezuiti ukryli bogactwa zakonu na wyspie San Salvador. Piraci Wafer, Davies, Dampier i Cowley przechowywali na jednej z wysp tego

archipelagu zapasy złota i srebra, przeznaczone na czarną godzinę.

18. MARKIZY (archipelag wschodniej Polinezji). W zatoce jednej z wysp ukryty jest łup wojenny hitlerowskiego kapitana łodzi podwodnej U-435, Hulmuta, Skarb ten składa się z milionowej wartości klejnotów, złota oraz trzech obrazów pędzla Van Dycka.

19. PINAKI. Drogie kamienie, złoto, srebro i przedmioty kultu, należące do jezuitów zostały zakopane w Hiti, na wyspie Pinaki (Oceania). Sześćdziesiąt stopni, wykutych w rafie koralowej, prowadzi jakoby do tej kryjówki.

20. HAMPSHIRE. Krążownik angielski „Hampshire” został zatopiony przez Niemców na wschód od Orkad (Atlantyk) dnia 7 czerwca 1916. Zginął wówczas bry-

(Dokończenie na str. 10)

Edward Emski Pustynne szczyry

O sześćdziesiąt kilometrów na południowy wschód, koło Bir Jerari, pozostał samochód z zapasem wody, benzyny i żywności. O dwieście kilometrów dalej, w tym samym kierunku, leży L.G.125 — dawne lotnisko R.A.F., używane często przez L.R.D.G. jako punkt zborny i wyznaczone jako ogólne miejsce zbiórki uczestników akcji z dnia 13 września. O osiemset kilometrów dalej na południe, poza morzem płaskowym, leży oaza Kufra, gdzie mieści się dowództwo Szwadronu A.L.R.D.G., 216 eskadra bombowców R.A.F. i oddziały Sił Obronnych Sudanu.

Major Easonsmith dzieli swój oddział na dwie grupy — „zmotoryzowaną” i „pieszą”. Pierwszą dowodzi lekarz. Dostają Chevroleta, którym pojadą wszyscy ranni, oraz jednego jeepa, którego poprowadzi major Popski. Skierują się najpierw do Bir Jerari, gdzie z pozostawionego tam wozu uzupełnią zapasy, następnie do L.G. 125. Tam natrafią może na jakiś patrol L.R.D.G. Jeśli nie, pomaszczą dalej, okrażając morze piaskowe — nie do przebycia dla pojedynczego wozu — przemkną się przez przesmyk Jalo, omijając samą miejscowość, która jest w reku nieprzyjaciela, i dotrą do oazy Kufra. Łącznie nieco ponad 1000 kilometrów — jeśli wszystko pójdzie dobrze, dotrą do oazy za siedem — osiem dni.

Grupa piesza — pozostałych

dwudziestu trzech ludzi — pod dowództwem majora Easonsmitha pomaszczają najpierw do Bir Jerari. Będą mieli jednego jeepa do wzięcia zapasów. Z Bir Jerari zabiorą znajdujący się tam samochód i skierują się do oazy Kufra.

Major sporządza spisy członków każdej z grup, wywołuje ich po kolei, podaje do wiadomości przydział. Następnie wszyscy biorą się do pracy — przygotowują do drogi samochody i ładunki.

Jako pierwsza rusza grupa piesza, „zmotoryzowana” zaraz za nią. Noc jest bezkłęskowa, ciemna. Trasa, w górę skalistego wadi, bardzo trudna. Uskok, półki skalne, wąskie przesmyki. Lewa opona przedniego jeepa majora Popskiego jest przestrzelona, bez powietrza, tak że kierowanie wymaga bardzo dużego wysiłku. Po godzinny marsz grupa piesza w dalszym ciągu wyprzedza „zmotoryzowaną”. Dopiero gdy wydostają się z wadi na płaskowyż, samochody doganiają piechurów.

W drugim jeepie „strzela” opona. Major Popski decyduje się na porzucenie swego jeepa — w ten sposób przynajmniej jeden jeep będzie miał wszystkie opony całe i koła zapasowe. Po zdjęciu kół kładą na zbiorniku paliwa granat zapalający z zapalniczkiem czasowym, ładują się do Chevroleta i odjeżdżają. Oddział pieszy zostaje w tyle, z nim i drugi jeep.

Davis, nawigator na Chevroletcie, stara się sterować możliwie prosty kurs, a kierowca robi, co może, by jechać według jego wskazówek. Jest jednak zupełnie ciemno. Co chwila natykają się na prze-

szkody — glazy, drzewa — które stają się widoczne dopiero w ostatniej chwili. Trzeba cofać, wymijać przeszkodę, by zaraz natknąć się na nową. Przez jakiś czas jada zбочem wzgórz pod takim kątem, że ledwo mogą utrzymać się na

samochód zatrzymuje się nagle — przednie koła dostawnie na krawędzi uskoku — piętnaście metrów pionowo w dół. Okazuje się, że to wadi, które trzeba przasyć.

Po drugiej stronie jest gorzej. Ściana jest stroma, usiana glazami. Biorą ją rozpędem. Wóz skacze jak piłka. Dla załogi — wszyscy ranni — to istna tortura, zwłaszcza dla Parkera. Dostaje zastrzyk morfiny. Mechanik ogląda wóz — eudem jakimś nie doznał poważniejszego uszkodzenia, można jechać dalej.

Nie mają czasu na piesze rozpoznanie trasy. Noc szybko upływa, a jeśli o świcie będą blisko miejsca, gdzie wieczorem zostawiły ich samoloty, lotnicy odnajdą ich, a to oznacza koniec.

Stopniowo trasa się poprawia, mogą jechać nieco szybciej. O trzeciej trzydziści lekarz zarządza postój. — Parker słabnie. Przejechali ponad dwadzieścia kilometrów, mogą się jakiś czas zatrzymać. Przed świtem ruszą dalej, do czasu, aż samoloty będą w powietrzu, zrobią przynajmniej jeszcze dziesięć kilometrów — nie łatwo będzie ich znaleźć.

Robią herbatę, potem krótką drzemka. Zaczyna szarzyć. Jest chłodno. Major Popski budzi się, widzi lekarza pochylonego nad Parkerem. — Jeszcze żyje — mówi doktor i uśmiecha się.

Ruszą dalej. Nawigator steruje kurs. Zadanie ma bardzo trudne. W jego reku jest życie ich wszystkich. Ponad tysiąc kilometrów w prostej linii, a ma tylko busole magnetyczną i słoneczną. Nie ma ani teodolitu, ani radia, nie może więc kierować się według gwiazd. Co więcej, nie

zna dokładnie współrzędnych miejsca, z którego wyruszyli, będzie je miał dopiero, gdy dotrą do Bir Jerari — miejsce, w którym pozostawili samochód z zapasami, ustalili astrofizykiem.

Jada nieprzerwanie. Gdy w południe zatrzymują się na postój, wzgórz Dżebel i jego zielone drzewa są już za nimi. Odczują ich teraz żółte pagórki — piasek i żwir.

Przygotowują obiad.

— Tym razem walczymy — mówi major Popski do Wildera.

Ale samolot leci wysoko, nie widzi ich, po chwili znika. Karabiny maszynowe milczą. Nie ma z kim walczyć.

Znow jada. O czwartej są w Wadi Jerari. Nawigator rozwiła teraz cały swój kunszt, samochód zgodnie z jego wskazówkami co chwila zmienia kurs, wreszcie zatrzymuje się u skraju rozległego obszaru splatanych krzewów.

— Tutaj!

Wóz z zapasami jest dobrze ukryty i zamaskowany. Odnajdują go jednak szybko, uzupełniają wodę, paliwo, żywność, zabierają koła zapasowe. Zostawiają meldunek dla majora Easonsmitha. Po godzinie znów są w drodze. Jada do zmroku. A potem śpią!

Śpią dziesięć godzin — pierwszy spokojny sen i prawdziwy wypoczynek od trzech dni.

Następnego dnia rano Parker jeszcze jest przy życiu, ale bardzo cierpi. Morfina już mu nie przynosi ulgi. Jest przytomny, przeprosza kolegów za kłopoty, jakie im sprawia — spokojniejszego pacjenta żaden

z nich nie widział. Nie może jeść. Nie pozwalają mu pić. Jedyne, co mogą dla niego zrobić, to umieścić go możliwie wygodnie w tyle samochodu, i co kilka godzin zrobić zastrzyk morfiny. Na szczęście teren się poprawia, wóz nie rzuca już tak okropnie, jak przedtem.

Pogoda jest wyjątkowo piękna. Teraz są już w pustyni, horyzont poszerza się i zmniejsza w zależności od tego, czy ich samotny wóz wznosi się, czy opada razem z długimi, żółtymi wzgórzami, cichymi i spokojnymi, lecz nie pozbawionymi życia. Wczesnym rankiem, pod krzakiem, widzą ogromną hienę, jak się obraca w kółko, sztykając sobie łogowisko. W godzinę później — dwie antylopy, wielkości dużych cielaków, o sierści mlecznobiałej i długich, wygiętych rogach. Zatrzymują samochód, podnoszą Parkera — nóż i on popatrz. Nigdy nie widzieli antylop w pustyni. Wydaje im się, że Parker przed śmiercią powinien się dowiedzieć, że tu są.

Jada dalej, od świtu do zmroku, powoli, tak by wóz znowu nie rzucał, ale nieprzerwanie — tylko kilka zastrzyków i krótki posiłek w południe. Starają się dotrzeć możliwie szybko do L.G.125 — w nadziei, że spotkają tam któregoś z patroli L.R.D.G., odwiezających okresowo ładunki, lecz popasujących tam krótko, bo i Luftwaffe często je odwieźniała. Patrole miały radio, mogły ścigać z Kufry samoloty. Parker mógłby w ciągu kilku godzin być w Egipcie, w szpitalu.



Ruiny bunkru sztabu generalnego Hitlera.



Jeden z kraterów po amerykańskim bombardowaniu

poznawano, który z pięciu typów jest Führerem. W głębi bunkru miał urządzoną luksusową łazienkę. Kapał się w niej codziennie o godzinie 2 w nocy. Po naradach z marszałkami i generałami szedł zwykle do wytwornego pałacyku Ewy Braun. Miłość ich polegać miała prawdopodobnie na ekstazy zachwyta, gdyż Hitler rzekomo wskutek odniesionych kontuzji w czasie pierwszej wojny światowej nie był stuprocentowym mężczyzną. Potwierdzałby to fakt, że nie mieli przecież w ogóle potomstwa. Poza tym Hitler był jaroszem, jego ulubioną potrawą była pietruszka... i kapuska. Zawarta jest w tym nielichana ironia losu. Ten germański bożek o krwio-

żerczym charakterze, rojący o podbiciu świata żywił się jarzynami i nie był nawet w pełni mężczyzną.

Wróćmy jednak do pytania zawartego w tytule.

— Czy zostanie wyjaśniona tajemnica „Gniazda Os”? Wydaje mi się, że szybciej ludzie dotrą do nie znanych planów niż do podziemi gerlickiego lasu, jeśli będą to wyprawy jak dotąd pojedynczych jednostek. Dlaczego wobec tego nie zorganizowano odpowiedniej ekspedycji ludzi dzielnych i wyposażonych w odpowiednie akcesoria, pozwalające dotrzeć do podziemi i wydrzeć tajemnicę „Gniazda Os”? To również pozostaje zagadką...

TADEUSZ GICGIER

WINOGRONA

Poeta kupił winogrona, wspomniawszy na swoje dzieci. Wzruszył się. Pod kształtną czaszką dźwigał straszliwą pustkę, ciężką jak szklany klosz. To noc — wydedukował — wczorajsza noc, w rozpuście, w alkoholu utopiona.

A potem jak co wieczór knajpy, lokale, knajpy, zmieniali się tylko szatniarze, z których każdy brał: aluminiową monetę, piasecz, torbę z winogronami. Gniecioną w wielkich łapach torba puszczała soł i była wilgna jak oczy poety, które patrzyły tętnie na tańczących, i mrużyły znacząco, kiedy się na nie natknął kobiecy wzrok.

Wyszedł z ostatnimi gośćmi i wyniósł winogrona. Czuł ciepło autoironii: zawiezie. Do taksówki wsiadł. Płynęła podmiejską mielizną czarna łódź zablocona, podrzucając poetę wysoko, pod nieba dach.



Zmęczenie niedzisiejsze podpowiada: wkrótce kołyska z czterech desek, z inną żoną łoża.

Chłopiec, dzisiaj niemowlę, przez wiosen dwadzieścia brać będzie w krew i w płuca podobne wieczory, zanim go nie porazi pierwsza myśl o zgonie.

Przyjmij ziarno dziedzictwa i mnie nie przeklinaj.



PODARUNEK

Duszy majowy wieczór w drodze obezwładnia. Kobieta nad kołyską schylona w ogrodzie o twarzy jak ser zdrowej, z piersią jak ser białą, podkreślona dekoltem grubej lnianej sukni.

Nie nade mną się zgina ta nie moja matka, nie mnie odsłania łono krzepka chłopka żona,

Kładę swą rękę na parapecie.

Węgłem rysuje rękę cień-kwiecień.

Zdejmuję rękę i nie ma cienia,

ani po cieniu cienia wspomnienia.

Tak kiedyś ona zdejmie mnie z ziemi,

bo cień powinien w cień się zamienić,

bo na tym świecie śmierć wszystko zmiecie.

Ach, nie kładź ręki na parapecie!

OSZUSTA

Sabatową dziesięć razy mniej plus przyrzeczone futro dla rzekomo jakiejś bajejnie grubej ryby. P. Stefan kochał ludzi naiwnych miłością szczerą — złotą(!)

POPADYNIEC NA SZLAKU

Popadyniec „pracował” na terenie całego kraju. Wyludził, szachrował, kantował od srebrnych fal Bałtyku aż po śnieżne szczyty Tatr.

W Rańsku zakupił za 9 tysięcy złotych 21 metrów sześciennych dłużyzny, ażeby ją sprzedać stolarzowi i parafii rzymsko-katolickiej w Wolsztynie za 24 tys. zł. W Przybyszewie sprzedał Komitetowi Elektryfikacji 130 metrów sześciennych drzewa nabytego we Wrocławskim. Od Feliksa Polysa w Koziencach wyludził 8 tysięcy złotych w zamian za umorzenie przeciwko niemu (Polysowi) śledztwa. Zdzistawa Żelaznego nabawił na 45 tys. złotych pod pozorem dopuszczenia go do spółki handlem drzewa. W Radomiu pobrał od Edwar-da Karbownikiego 3 tys. zł na dostawę płyt pilśniowych. W koziencickich zakładach drzewnych pobrał zaliczkę w wysokości 34 tys. zł na dostawę drewna, którego tam nigdy nie będą oglądać. Litanię przestępstw jeszcze długo można odmawiać.

Jak widzimy był to wielki specjalista i człowiek nieograniczonych możliwości. W swej „działalności” niemal codziennie ocierał się bezkarnie o kodeks karny i to przez piętnaście lat. Baza

wypadową była Warszawa, gdzie p. Stefan miał swego specjalnego zausznika. Z ludźmi, z którymi się porozumiewał i łączyły go interesy „handlowe” kontaktował się wyłącznie za jego pośrednictwem. Józef Sereni wiedział zawsze gdzie jest Popadyniec i informacji udzielał tylko osobom wskazanym przez swego szefa.

KUTREM W SINĄ DAL

Istniało swego czasu w Gdyni dziwne biuro. Nie było w nim szaf, segregatorów, sekretarki, portiera ani nawet sztydu. Ludzie którzy przychodzili do biura pragnęli tylko jednego: jak najszybciej opuścić rodzinny kraj — jedni dlatego, że palili się im grunt pod stopami, inni znów szukali Wielkiej Przygody. Szef biura zapewniał bezpieczne schronienie i Wielką Przygodę, oczywiście za pewną określoną, niewygórowaną opłatą.

Kuter Gd-a-27 stał na re-dzie Pagedu w Gdyni. Pewnej pogodnej nocy amatorzy egzotyki jak i nielegalnego wyjazdu z Polski spotkali się razem nad brzegiem morza. Z małymi bagażami w rękę i wielką nadzieją w sercu oczekiwali na przybicie kutra do brzegu. Długo, długo czekali....

„WIELKI BYZNES”

Piękne są polskie rzeki — wartkie, kręte, zarybione — ale najcenniejszą jest rzeka Bóbr, słynna w całej Europie z wysokogatunkowego żwiru.

Do filii pewnego katolickiego przedsiębiorstwa o enigmatycznej nazwie wstąpił elegancki pan o budzącym zaufanie spojrzeniu, podając się właśnie za właściciela owej drogoceennej rzeki.

Targ w targ interes ubito, umowę spisano, pieniądze pobrano, bagatelka... głupie 200 tysięcy złotych. Dopiero gdy nad łagodnym brzegiem rzeki pojawiły się koparki zaniepokoiło to przedstawiciela miejscowej władzy i rzecz została wyjaśniona... Rzeki w Polsce są upaństwowione i z tego to zaiste mało znaczącego faktu, ów elegancki pan nie mógł być właścicielem owej pięknej rzeki.

KOZACKI SKOK

W roku 1957 w hotelu „Pod Orłem” w Zielonej Górze zamieszkał 40-letni mężczyzna. Współwłaściciel dobrze prosperującego przedsiębiorstwa Gabler i S-ka okazał się miłym towarzyszem zabaw. W lokalu „Centralna” w towarzystwie p. Basii, Alicji i Izy czas upływał przyjemnie i wesoło, a rachunki płacono słone. Czesne wyjazdy gentelmana do

Gorzowa, Kostrzyna i Słubic przerywały tylko na krótko chwile wesołej zabawy i „ubawów”.

Wielu ludzi z „branży” jeździło do Słubic w celu odkupienia od tamtejszego Prezydium Powiatowej Rady Narodowej dwóch bunkrów, których cegła szamotowa wysoko jest ceniona na rynku krajowym. Niestety, wszyscy wracali z pustymi rękoma. Nasz gentleman często podkreślał, że jeszcze nie znalazł się w Polsce kuzak, który by go przeskończył. Istotnie, po kilku wyjazdach w teren stał się on właścicielem bunkrów. Po sfinalizowaniu sprawy w gospodzie kostrzyńskiej współwłaściciel firmy Gabler i S-ka podejmował hucznie przedstawicieli władz powiatowych. Transakcja ta ni mniej ni więcej tylko dała owemu gentlemanowi pół miliona złotych czystego zysku.

Nie muszę chyba dodawać, że bohaterem tych pouczających historyjek był Stefan Popadyniec.

Teraz już, Drody Czytelnicy, nie dziwiecie się, gdy pewni panowie po jednym głębszym zapewnianiu was,

że w Polsce pieniądze leżą na ulicy. Oni mają rację.

TAJEMNICE POWODZENIA

Gdzie leży zagadka tego powodzenia, że nie powiem sukcesów?

Otóż w tym szaleństwie była metoda logiczna i realizowana konsekwentnie, oczywiście do czasu.

Sięgając do porównań z dziedziną ichtiologii nie możemy powiedzieć, że Popadyniec był grubą rybą jak nie był również zwykłą płotką. To było coś pośredniego, raczej prężny, szybki zezupak o ostrych zebach, żerujący w mętnej wodzie mikroskopijnego światła kapitalistów, jaki istnieje jeszcze na marginesie naszego ustroju. Określiłbym to jako działalność w „strefie intencji przestępczych”. W języku prawniczym istnieje sformułowanie zwane wola przestępstwa. Tam gdzie istniała taka wola przestępstwa znajdował się zawsze nasz bohater występując w roli katalizatora.

I tutaj dochodzimy do istoty zagadnienia. Czy faktycznie ludzie, których Popadyniec nabijał w butelkę, byli aż tak naiwni?

Czy można powiedzieć o Kawiorskiej, Sabatowej Sniegułce, Wojakowskim, Żelaznym i innych, że byli naiwni? Wątpliwe. Wszyscy oni chcieli w jakikolwiek sposób obejść sprawę. Kierowały nimi wszelkie inne pobudki tylko nie naiwność.

Podkreślam ten problem dlatego, że jest to zjawisko dość częste, a mimo to traktowane powierzchownie. Wszelkie szachrajstwa i machlojki tłumaczy się niejednokrotnie niewinną naiwnością. Popadyniec dobrze o tym wiedział i na tym oparł całą swoją praktykę. Dopiero w momencie, gdy rozuchwalony bezkarnością zdradził reguły własnej gry i zaczął nabierać nie tylko prywatniarzy, ale przedsiębiorstwa państwowe i spółdzielnie noga mu się powinęła.

Proces tego niewątpliwie utalentowanego przestępcy odbędzie się w połowie maja przed Sądem Wojewódzkim w Zielonej Górze.

KAROL BADZIAK

Podatossy str. 7

Biblioteka Waryńskiego



Bibliotekę Waryńskiego wszyscy lubią. Najbardziej jednak młodzież — ci, którzy z książkami tutaj właśnie zetknęli się po raz pierwszy. Nie myślę o pojedynczych książkach zdjętych z półki lub pożyczonych od kolegi. Chodzi o wielki zbiór, syntetyczny wykładnik mądrości niemal wszystkich epok.

Pamiętacie, młodzi, jak was fascynował pierwszego dnia spędzonego w Bibliotece widok katalogów, sala, na której trzech ścianach widzieliście małe kwadratowe otwory, wypełnione metalowymi grzbietami katalogów? To pierwsze wrażenie zbliza, stwarza coś z tej sympatii, jaką czujemy do miejsca, w którym przyszliśmy na świat.

Przeglądanie katalogów jest dla mnie na każdym razem zajęciem pasjonującym. Jakaś wielka satysfakcja, świadomość możliwości dotarcia do wszystkich największych osiągnięć literatury, filozofii, nauki; grzebanie w dowodach mądrości człowieka.

320 tysięcy książek. Tytułów posiada Miejska Biblioteka im. L. Waryńskiego wraz z podległymi filiami. A jest tych filii (zanotujmy to z dziennikarskiego obowiązku) trzydzieści pięć. Będzie zaś ich w niedługim czasie — siedemdziesiąt.

Lecz Miejska Biblioteka im. L. Waryńskiego niedługo gotowa będzie na przyjęcie... miliona tomów. Jak bowiem wiadomo po obydwu stronach gmachu Biblioteki znajdują się dwa obszerne place. Zostały one przez Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi przeznaczone pod budowę dwu dodatkowych skrzydeł. Tu znajdują swą siedzibę jeszcze dwie czytelnie ogólne, sala konferencyjna i wystawowa, czytelnia specjalistyczna, dział mikrofilmów, interlogatornia... długo by zresztą wymieniać.

Nawet o palaczach dyr. Augustyniak nie zapomnieli. Otrzymają oni czytelnie, w której nie ujrzycie napisu „palenie wzbronione” — natomiast na stolach zostaną położone gustowne popielniczki.

Czujemy się jednak w obowiązku wyjaśnić czytelniko-

wi, iż użyte poprzednio, niezbyt precyzyjne określenie „niedługo” oznaczać ma rok 1965. Trochę nas poniosł wrodzony optymizm. Ale swoją drogą 6 lat, to naprawdę niedługo.

Wróćmy jednak do teraźniejszości. Już dziś ambicją pracowników Biblioteki jest obsłużyć czytelnika w przeciągu 3 minut.

Kiedy będziecie oddawać kartę z wypisanym na niej numerem książki — spojrzcie na zegarek.

Wasza karta wędruje teraz na górę — do magazynu. Tam bierze ją do rąk dyżurny bibliotekarz, aby z „towarzystwa” 100 tysięcy tomów wyciągnąć żadaną przez was książkę. Po chwili na dole zapala się czerwone światelko i dyżurujący tu pracownik Biblioteki otwiera drzwiczki windy. I oto leży przed wami książka, na którą czekacie. Ile?... 3 minuty. Osiągnięcie — nawet w epoce sputników i szybkości kosmicznych — imponujące. Ale też organizacja pracy w Miejskiej Bibliotece jest istnym majstersztykiem.

Zatem nie dziwnego, że przez czytelnie niepozornego gmachu przy zbiegu Gdańskiej i Kopernika przewija się rocznie ponad 70 tysięcy czytelników, a więc dziennie około 400—500 osób.

A teraz mała dygresja. Niedawno ekspozowana była w Warszawie Wystawa Odrodzenia. Jednym z najcenniejszych spośród ekspozatów udostępnionych zwiedzającym była książka z biblioteki króla Zygmunta Augusta pt. „Filozofia św. Augustyna” wydana w Bazylei w roku 1569. Książka ta, niezwykle cenny „biały kruk” pochodzi z zasobów Miejskiej Biblioteki im. L. Waryńskiego. Nie jest to zresztą jedyny starodruk będący w posiadaniu Biblioteki. Około 1.000 podobnych, wartościowych książek znajduje się tu do dyspozycji naukowców. Dlaczego tylko naukowców? Bowiem gdyby owe stare i cenne dzieła oglądała zaledwie jedna osoba dziennie — w niedługim czasie z „białego kruka” zostałoby jedynie trzema wspomnienie w postaci czarnych, potłuszczonych

kartek i to jeszcze nie wszystkich. Bo, niestety, kultura obcowania z książką jest u nas jednak niezwykle niska. Studenci i uczniowie wyrrywają np. z wypożyczonych książek całe rozdziały „zadane” im przez wykładowcę. Trzeba przyznać, że niewiele jednak można spotkać podobnych przykładów straszego barbarzyństwa.

Biblioteka Waryńskiego jest popularna. Zdobyła to sobie łatwością, z jaką podaje książkę. W kilka minut po otwarciu zewnętrznych drzwi można już siedzieć w czytelni. Może wejść każdy, prosto z ulicy, byle zostawił leżymaczkę przy wejściu. Wystarczy otworzyć drzwi, aby znaleźć się w hallu. Jak tu wypada konkurować Bibliotece Uniwersyteckiej, gdzie na książkę trzeba czekać co najmniej godzinę, a czasem kilka tygodni, no i wreszcie — nie każdy może korzystać z niej.

Oczywiście obie Biblioteki różnią się zasadniczo charakterem. „Waryński” — jak się powszechnie mówi — nie wypożycza książek do domu. Ma za to piękną czytelnie. I chyba wszyscy są z tego zadowoleni. Cicha, przytulna czytelnia jest potrzebna, kiedy istnieją przeludnione mieszkania, wieloosobowe pokoje w domach akademickich.

Czym by zresztą był „Waryński” bez czytelni? Skądby wypływała jego atmosfera skupienia czy może nawet świętości? Gdzieby się koncentrowało życie Biblioteki? Czy może w tej salce na górze, w której odbywają się odczyty, spotkania z autorami?

Biblioteka ma własne życie. Życie to nie tylko kontakt z książką. Są więc również wątki miłosne.

Ci młodzi ludzie podnieśli głowy znad książek, przewalili notowanie, patrzą na siebie z odległości kilku miejsc, dziewczyna uśmiechnęła się. Po piętnastu minutach rozmawiają w hallu, dokąd wyszli na papierosa.

Spotykają się potem czę-



Szkło okienne wysokiej jakości

Szkietka do skal radiowych

Bloki kwarcowe do wanien szklarskich stosowanych w wysokich temperaturach

dla odbiorców w kraju i za granicą

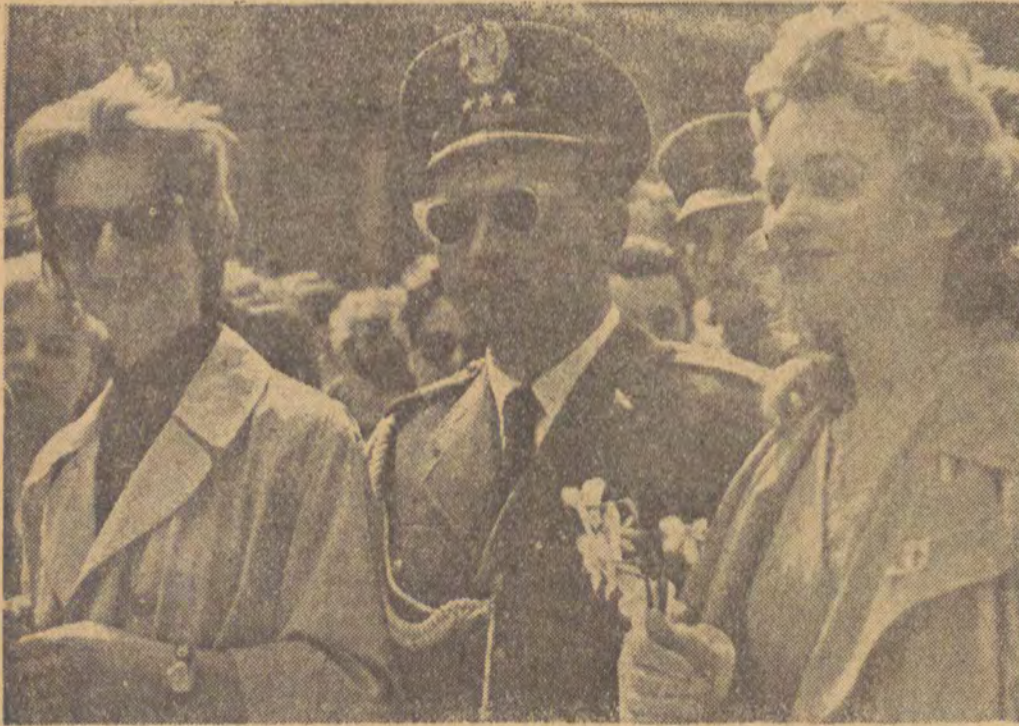
produkują

Zakłady Szklarskie „KARA” w Piotrkowie Trybunalskim



sto. Chodzą do teatru, kina, kawiarni. Ale spotykają się Do Biblioteki przychodził również w Bibliotece. Siedzą czasem na dobre pół dnia, obok siebie, czytają, notują. Dlaczego nie ma w projekcie wychodzą razem na papiera... małego bufetu z tanimi kanapkami, herbatą, czarną kawą?

A więc w ciągu kilku najbliższych lat „Waryński” będzie rozbudowany. Czy jednak pomyślano o wszystkim? trzeba.



Czterdzieści nie odnalezionych skarbów

(Dokończenie ze str. 4)

tyjski minister wojny lord Kitchener. Okręt przewoził złoto w sztabach, wartości 10 milionów funtów sterlingów. Zdołano wydobyć zaledwie 10.000 funtów.

21. DUQUE DI FLORENZIA. Galeon niezwykłej Armady zatonał na redzie w Tobermor (Szkocja) w 1688 r. Przewoził jakoby niezmiernie bogactwa.

22. HARTLEPOOL. Kosztowności na dnie morza.

23. TUBANTIA. Statek storpedowany w 1917 r. w odległości pół mili od pływającej latarni morskiej w Noord Hinder (Holandia). Przewoził ok. 40 ton złota w sztabach.

24. LUTINE. Angielska fregata, zatopiona w 1798 r. w okolicy wyspy Terschelling (Holandia). Transportowała 140.000 funtów sterlingów przeznaczonych na wypłaty dla wojsk brytyjskich, oraz 900.000 funtów w złocie kapitału prywatnego. Wydobyto już ok. 95.000 funtów.

25. VIGO. 19 galeonów „Złotej floty” zatopiono w zatoce Vigo (Hiszpania) w r. 1707 z bliżej nie znanych powodów. Wartość ładunku jest oceniana na 200 miliardów franków. Część złota została wydobyta.

26. ORA. Manierki, wypełnione złotem (ok. 500 kg) zostały w r. 1945 ukryte przez oddział hitlerowskich żołnierzy w grocie góry Ora (w dorzeczu Adygi, Włochy). Wszyscy żołnierze tego oddziału zginęli, kryjówka dotąd nie jest odnaleziona.

27. ZŁOTY SAMOLOT. Niemiecki Junkers-81 rozbił się w r. 1938 w okolicy Sankt Moritz (Szwajcaria). Nie odnaleziono nigdy ani szczątków samolotu, ani miliardowej wartości ładunku złota.

28. GROSSREICH. W Austrii (ok. Jezera Aussee) mają być ukryte rezerwy złota, srebra, brylantów oraz zbiory filatelistyczne i zapasy narkotyków rządu hitlerowskiego. Wartość oceniana jest na 700 miliardów franków.

29. WOLFSCHANZE. Podziemna forteca, w której w r. 1939 urzędował sztab gen. Hitlera, wypełniona jest podobno ogromnymi łupami wojennymi.

30. CZERNIAWSKI. Złota waza z 8 wielkimi brylantami i 7 szmaragdami, 2 kg platyny, 50.000 funtów szterlingów i 2 miliony funtów tureckich zostały w r. 1917 zakopane w Armenii, niedaleko granicy perskiej, przez dowódcę białych kozaków Czerniawskiego.

31. MARTWE MORZE. Wedle starych spisów 60 bezcennych skarbów spoczywa jakoby w Palestynie, w okolicy Nablus.

32. LOBENGUELA. Skarb władcy Lobenguela: kilkanaście worów ze złotymi monetami, worek brylantów, duża ilość kości słoniowej spoczywają od r. 1893 w dolinie rzeki Zambezi, w pobliżu wospadu.

33. HADJE AIBEEP. Anglik Cornel Holender Van Bleerk odkrył w 1928 r. w okolicy Uptington (Afryka południowa) wielki skarb diamentowy, znajdujący się w głębokiej przepaści zwanej Hadje Aibeeep. Obaj się wzbogacili, nie wskazali jednak nikomu drogi do diamentów. Reszta niemałego skarbu będzie więc należała do tego, który potrafi go odnaleźć.

34. BOURRASQUE. Bryg „Bourrasque” kapitana Morgana, zatopiony w 1694 r. w pobliżu Przylądka Dobrej Nadziei, przewoził miliardo-

wy skarb, składający się ze złota, srebra i drogich kamieni.

35. GROSVENOR. Fregata brytyjska, która zatonała w 1783 r. u wschodnich wybrzeży Afryki, przewoziła ogromną ilość złotych monet, brylanty, klejnoty oraz tron z masywnego złota, wysadzany wielkimi rubinami i szmaragdami.

36. LA BUSE. Skarb koresarza Olivier Le Vasseur, przewożonego „La Buse” (Myszołów) został ukryty w 1730 r. w grocie jednej z wysp Seszele (grupa wysp na Oceanie Indyjskim).

37. NANA SAHIB. Zdobycze ze złupionego w r. 1857 miasta Kanpur (Indie) została jakoby ukryta przez hinduskiego księcia Nana Sahib bądź to w podziemiach zamku Bithur w Indiach, bądź też w górach Arawalli.

38. DALAI LAMA. W czasie ucieczki z Tybetu w r. 1950 ogromne skarby czy to pochodzące z rabunku, czy też zbyt trudne do przewiezienia zostały złożone w grotach himalajskich, w okolicy Dardżiling.

39. KIDD. Legendarne skarby koresarza Williama Kidda, zakopane jakoby na jakiejś nieznannej „Wyspie Szkieletów”. Japończycy twierdzą, iż odnaleźli je na wyspie Yokoate, a Amerykanie — że na wyspie Gardiner.

40. GRIGAN. Na wyspie Brigian Archipelagu Mariańskiego (Ocean Spokojny) angielski koresarz Robertson ukrył w r. 1827 dwa miliony złotych piastów, zrabowanych z dwumasztowca „Peruvian” na redzie portu Caliac. Robertson, który następnie wymordował całą swoją załogę, został ostatecznie ujęty przez hiszpańskiego kapitana Pacheco i popełnił samobójstwo. Skarbu jego dotąd nie odnaleziono.

Gwiazdy do wynajęcia

(Dokończenie ze str. 2)

Listy autoreklamowe panien pragnących udostępnić oglądanie swego oblicza milionom — zawierają, pod pozorem autoopisu kandydatek — prezentację poglądów na człowieka idealnego, na człowieka — wzorzec. Z takiej zaś opisu wydedukowanie poglądów na świat, bliźnich i społeczeństwo jest już zabiegiem zgoła technicznym. Listy te mówią prawdę. Nie są bowiem odpowiedzią na ankietowe pytania zadane wprost. Autorki wyrażają ją w sposób nieświadomy. Cóż to za prawda? Przytoczę w telegraficznym skrócie kilka jej elementów.

Wartość człowieka określają przymioty jego „duszy i serca”, bogactwo jego życia wewnętrznego. Nie zaś pozycja i współzwiązek ze społeczeństwem, ani też społeczna użyteczność, czy też zdolność do twórczości (szeroko pojętej twórczości intelektualnej w dowolnej dziedzinie).

Ślawa to coś niewspółmierne większego niż pieniądze.

Amatorki gwiazdowania (wszystkie!) akceptują system pojęć obyczajowo-etycznych pokolenia starszego i np. swą korespondencję traktują jako coś droższego starając się ukryć ją przed otoczeniem, ale ze względów pryncypialnych, a nie tylko w obawie ośmieszenia się. („Mama nie pozwala mi jechać (do Łodzi — przyp. B.) bo mówi, że nie wiadomo jakich po drodze spotkam mężczyzn i młodej panie nie wypada rozmawiać z mężczyznami obcymi. A ja przecież nie będę rozmawiać, tyle co w biurze filmu.”)

Życie realne, codzienne, jakie jest udziałem „normalnego” człowieka jest szare i nudne. Na szczęście świat dzieli się na realny i filmowy (filmowość jest synoni-

mem wszelkiego dobra, niecodzienności, atrakcji, a życie aktora jakoś zlewa się z wyobrażeniami życia przedstawianych przezeń postaci. Aktor filmowy ma się do filmu nie jak fortepian do muzyki. Uważany jest za samą muzykę — górnio to określając).

Świat marzeń ma absolutnie wyższą wartość od świata realnego. Świat realny nigdy nie może dosięgać sfery jakości związanej ze światem marzeń. (Chyba, że gra się w filmie).

Film jest wartością, dla której bez wahania wyraża się gotowość poświęcenia dotychczasowego życia tj. środowiska, miejsca zamieszkania, nauki czy pracy, sposobu życia, przyzwyczajęń, perspektyw zawodowych itp. Natomiast nie jest wart poświęcenia mu zasad etycznych. Wymieniane są tu sprawy łóżkowe, umiłowanie prawdy, sprawa krzywdy innych ludzi (powtarza się często zdanie: „nie będę robić kariery po trupach”) czasem wierzenia religijne.

Mniej więcej tyle zanotowałem impresji bezpośrednich. Fachowiec lub człowiek, który by przeszedł większy pakiet korespondencji mógłby pomnożyć ich ilość dziesięciokrotnie.

W każdym razie wydaje mi się, że i to co wyczytałem warte jest dorzucenia do sporów na temat młodego pokolenia.

Wskazuje bowiem m. in. na pewien błąd zasadniczy toczących się dyskusji. W analizach prezentujących portrety czy fotografie pokolenia, nie bierze się pod uwagę elementów statystycznych. Tworzy się zmonstruowane obrazy środowisk młodzieżowych biorących udział w samej dyskusji — środowisk specyficznych — tych niby to wyobcowanych od pokolenia starszego, ale

bardziej jeszcze wyobcowanych ze swego własnego pokolenia.

Środowiska elitarne nigdy nie określają i nie reprezentują postaw generalnych. Nie mają też same w sobie żadnego znaczenia dla badań ogólnych — w tym wypadku specyfiki młodego pokolenia. Ważą w zjawiskach masowych dopiero po upływie pewnego, znacznego czasu, kiedy historycznie już można badać — co z ich postaw praktycznych i też „teoretycznych” zostało zafirmowane społecznie. Czasem są to wartości istotne, czasem moda tylko i obyczaj, czasem nic. Znamy elity młodzieżowe, z których nic nie zostało. Ewentualnie urazy negatywne tylko.

Panny piszące do filmu to oczywiście grupa również nie reprezentatywna. W jakimś stopniu można nawet założyć, że reprezentująca niższy poziom intelektualny „masy”. W każdym jednak razie warto zanotować, że modeluje ona swego bohatera pozytywnego jako człowieka skrzywdzonego, biernego wobec świata, wrażliwego, o jakichś tam przeżyciach wewnętrznych samych w sobie, ascetycznie „moralnego”, życiowo bezkompromisowego, abnegata fiskalnego, nieszczęśliwca.

Bujda na resorach? Oczywiście. Ale nie o to przecie chodzi.

Gdyby Belfer prowadził zamiast „Naszej szkółki” jakąś prawdziwą szkołę dla młodzieży z krwi i kości nie bardzo by się przejmował chuligaństwem, rzekomym „rozwydrzeniem moralnym” i rzekomą tajemniczością i innością sfinansowanego i rozdartego wewnętrznie młodego pokolenia. Zająłby się raczej przekazywaniem techniczno-fakologicznej wiedzy o „materii” maszynach, życiu i społecznym współżyciu, a także życia urokach i sposobach przywłaszczania ich sobie przez jednostkę.

BELFER

Ambona satyryka Z „pamiętnika z okresów dojrzewania“

Gdy miała dziewięć lat, śpiewała tę znaną harcerską piosenkę:

„Mama czau, mama czau, mama, czau, czau, czau, obudziłam się dziś wczesnym rankiem, a tu obóz, a tu dym?“



Gdy miała dziesięć lat, nie przestała jeszcze śpiewać tę znaną dzieciom cudzoziemską piosenkę:

„Suma fili dome serce, suma fili, dome da!

Nikudemba, szeferumba, nikudemba, szeferumba, nikudemba, szeferumba, nikudemba, szeferumba, rumba, rumba, rumba, da.“

Gdy miała dziesięć lat, nie przestała jeszcze grać w „podchody“ i wyśpiewywać:

„Szedł diabeł przez piekło, o holender, jak ciepło! Wszystkie diabły wyzdychały

został mi się jeszcze mały, co mi porty szyl.“
Ale już z coraz większym zapalem śpiewała:

„Jak pod twoim oknem, trzy godziny mokną, z góry na mnie pada deszcz. Buty przemoknięte i ubranie zmięte, czy ty, luba, o mnie wiesz?“

Gdy liczone jej dwanaście lat, już śpiewała z całym przejęciem i zrozumieniem rzeczy:

„Panna z kawalerem pod szóstym numerem.“

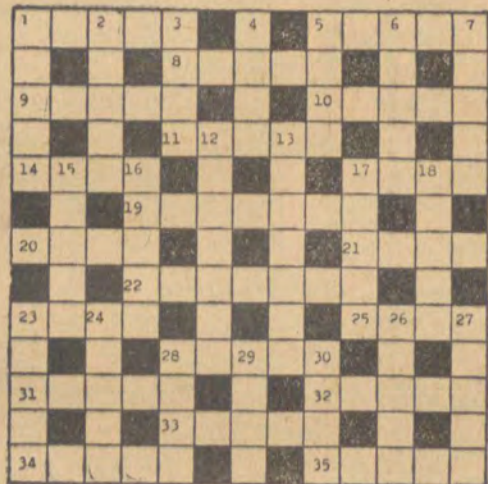
Zamknij okno, zamknij drzwi, bo kawaler z panną śpi.“

Teraz ma czternaście, a może już piętnaście lat, spaceruje po „cieleńniku“ z „Kalendarzykiem płodności“ dr. Rafała Pumpiańskiego albo kompletem środków antykoncepcyjnych w torebce i śpiewa w myśl:

„Murarzyku, zamuruj mi moje czarne oczy, żebym ja nic nie widziała, co ja robię w nocy“.

Amen

NASZA KRZYŻÓWKA



ZNACZENIE WYRAZÓW:

Poziomo — 1) Owoc palmy, 5) Okazałość, wspaniałość lub sprzęt strażacki, 8) Organizm jednokomórkowy o zmiennym kształcie, 9) Jazda na sianach, 10) Baza, 11) Skala, 14) Tułów posagu, 17) Ptak północny, 19) Wóz pogrzebowy, 20) Ogon lisa, 21) Poczucie umiaru, 22) Ekspedycja, 23) Zwierzę zimnokrwiste, 25) Odblask pożaru, 28) Plama w zeszycie, 31) Worek, 32) Bon, 33) Zwałiska, gruzy, 34) Nić, 35) Pseudonim Kazimierza Krukowskiego.

Pionowo — 1) Pozostałość

nośl po amputacji stopy, 2) Barwa, 3) Krupy, 4) 10 gramów, 5) Skrzynia, 6) Żelazo, miedź, złoto itp., 7) Klamra do wzmacniania pękających murów, 12) Noś i przy pogodzie, 13) Reszka, część całości, 15) Tłuszcz roślinny, 16) Prawy dopływ Wisły, 17) Beczka, 18) Poczwarła jedwabnika w o-przędzie, 23) Metalowy znaczek, 24) Nakrycie głowy, 26) Wypoczynkowy lub okolicznościowy, 27) Poeta polski, 28) Kolor w kartach, 29) Imię męskie, 30) Stop żelaza z węglem oraz innymi dodatkami.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI

Poziomo — fantasmagoria, stiók, kasza, podkład, liman, rampa, „Star“, ogar, orkan, rywal, akant, legenda, tenor, Orion, konstytucyjna.

Pionowo — fasola, trupa, muskuł, osada, ananas, kontroler, karbonado, motyw, miara, bratek, kredyt, atonia, aloes, karny.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali: 1. Wanda Stanisławska, Łowicz, ul. Bolesława Bieruła 40, 2. Leon Waleczak, Łódź, ul. Zgierska 99 m. 4,

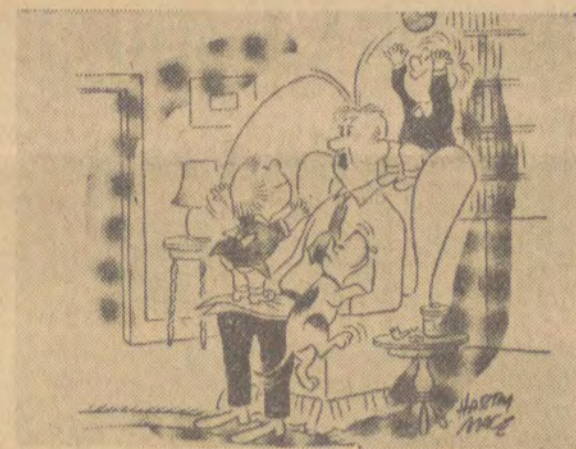
HARRY MACE



— Jak na początek, ładnie zagrałem, prawda?



— Może się jakoś uwolnimy od tego całego kramu — i zaczniemy wszystko od nowa?



— Nie sądzę, by mi tu okazano cały należny szacunek...

Dzieci — stanowiły zawsze żelazny motyw w twórczości karykaturzystów całego świata. Lecz jakże wielkim zmianom uległo potraktowanie tego motywu w ciągu ostatnich 25—30 lat!

W starych żartach, jeszcze na początku lat trzydziestych przedstawiano dzieci jako małe anioły, których zachowanie i komentarze służyły wyłącznie kompromitowaniu dorosłych. W karykaturze były wówczas maluchy lepsze, zrecniejšie i o wiele bardziej sympatyczne od swoich rodziców.

I nie wiadomo dlaczego, ale właśnie w okresie lat trzydziestych, wszystko się zmieniło. Mali bohaterzy dowcipów obrazkowych, stali się nagle okrutni, rozwydrzeni, często przerażający. Zapoczątkował tę serię podobno brytyjski rysownik Pont, publikując w „Punchu“ długi cykl żartów o smutnym, przemądrzałym rodzeństwie. Dziś nie sposób już wyliczyć humorystów, którzy poszli śladami Ponty. Najbardziej brutalni są Amerykanie: Charles Addams rysuje małych zwyrodniałców, małżonkowie Berenstein demonstrują isie apokaliptyczne wizje wściekłych zabaw milusińskich.

Przedstawiany w tym numerze inny rysownik amerykański nie posuwa się aż tak daleko. Harry Mace, choć daleki jest o ćwierć wieku od landrynkowych portretów — pozostawia

jednak miejsce na uśmiech. A na dnię rysowanych przez niego sytuacji można wy-czuć mimo wszystko sporo sympatii do rozbrzykanego potomstwa.

Dzieci — ten temat może zawsze liczyć na wielką popularność u czytelników. Nic więc dziwnego, że Mace, współpracownik magazynu „Saturday Evening Post“ — należy do ulubionych karykaturzystów, a jego twórczość nie budzi dyskusji, jak niektóre rysunki Addamsa czy Berensteinów, lub Anglika Ronald Searle. Pozostaje tylko pytanie: czy współcześni humorysty, pokazujący dość bezlitośnie świat dzieci, opierają to na własnych, rodzinnych doświadczeniach?..

(J-ert)

Redaguje Zespół © Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka“ © Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 98. Tel. 244-79 © Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł, kwartalnie 12,- zł. © Redakcja nie zamawia i nie odpowiada za zwrócone manuskrypty. © Prenumerata przyjmuje wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch“ — z zaznaczeniem na „Odgłosy“ Druk RSW „Prasa“ — Łódź, Zwirki 17. Z. 1414 TV, 59.

5-3

odgłosu str. 41

SPÓŁDZIELNIA PRACY „ZESPÓŁ POŃCZOSZNIKÓW“ W ALEKSANDROWIE KOŁO ŁÓDZI

poleca:

- * skarpety męskie długie i krótkie z gumką
- * skarpety dziecięce podkolanka i tenisówki
- * pateniki
- * pończochy damskie „żakard“
- * śpioszki i półspioszki
- * pulowery męskie z wełny 50 i 100%
- * bluzki damskie w różnych kolorach



Film sensu cyjno-przygodowy z polskim „dzikim zachodem” w roli głównej

BIANE NOCE

Dużo i różnie się myśli o filmie w czasie projekcji. Reżyser, Luchino Visconti, zostawia na to mnóstwo czasu.

Na ekranie ciągle noc, ciągle te same uliczki, zaulki, kanały, mosty, prostytutki — wycinek jakiegoś ponurego ale upożytkowanego miasta. Akcję tworzą spotkania i rozmowy Marii Schell z Marcello Mastrolainim, we wspomnieniach — Jeanem Maria. Nastrojczy chyba z wszystkich dotychczasowych adaptacji najbliższy adaptacji Viscontiego jest najswobodniejsza, scenariusz najbardziej odległa od epoki i miejsca, w którym Dostojewski żył (autobiosy, neony, czarne swetry i farmerki, i nawet... rock and roll...).

Poza nastrojem — Maria Schell grająca jakby z wysiłkiem swoją stałą rolę: romantyczną, skora do łez dziewczynę. Wokół niej kilka „zubożonych duchowców” postaci. Ludzie dobrzy, dobrzy w sam raz jak na Dostojewskiego ale zbyt dobrzy jak na Viscontiego.

„Biane noce” nie zdobyła chyba powodzenia u publiczności kinowej, a z trudem — u krytyki.

T. Z.



Od sześciu tygodni (sprawdźmy!) idzie w kinie „Gdynia” w programie dziecięcym wciąż ten sam film pt. „Przygody Zuzu”. Zanim pedagogów, dzieci istoty nie lubią oglądać kilka razy jednakowe historyjki. Ale na miłość boską — dziećmi rosną! W związku ze sprawą „Zuzu” pisze do nas Marek Nowicki (adres znany redakcji):

Szanowna Redakcjo! Zrobić coś, żeby panowie z Okręgowego Zarządu Kin zabrali sobie ten film do domu i dali nam coś nowego.

Nieży kawał udat się pewnej pani, która napisała dla tygodnika „Film” raport z realizacji nowego filmu produkcyj polskiej p. „Pochąg”. Film jak wiadomo ma charakter dość sensacyjny i występuje w nim m. in. aktor, kreujący postać zbrodnarza. Słopień atrakcji zależy w tym wypadku od nie-spodzianki, widownia nie powinna wiedzieć, który aktor jest przestępcą...

A pani pisze o raporcie, bez najmniejszych wyznań sumienia napisała sobie po prostu tak: znakomity w roli (tu wymieniam jakiej) jest aktor (a tu dokładnie napisana kłóty). Czytelny obdarzeni dobrą pamięcią straca pół radości, płynących z oglądania filmu.

Przypuszczam, że sympatycy naszych filmów nie doceniają roli, którą spełnia pewien mizie zakomspirowany czyhacz, kształtujący dziełom sztuki oblicze zwane ideowo-artystycznym. Mam na myśli rzecz najbardziej banalną. Wstyd...

Odegranie tanja na rogu pończoznym od Wyspiańskiego — stało się sprawą osobliwej ambicji. Podobnie szeroko poczęło się praktykować „eksperymenty” — także nie tyle z wyrażonej potrzeby czy dyspozycji twórczych — co ze wstydu. Bo „nie wypadła” robie filmów zwykłych, obliczonych na przyziemne zainteresowania widza. Ta sytuacja wymaga odtrutki. Dlatego każde oznaki pojawienia się jakowej — każda przywileje zjawisko ze zdrową uwagą. Oto powód, dla którego „Rancho” — film zresztą sympatyczny, prosty i dość zgrabnie zrobiony — urosła do miary problemu. Jest to m. in. problem pa-pierka lakmusowego. „Rancho” niech te autorów filmu nie peszy — rozszerzaj nasze ciotki od krytyki filmowej, które dopiero co zdążyły się aktywnie zentropizować. Miecz się ubóstwiającej przez ciotki filozofii i miedysce symptomów „nowej szkoły” — zajmują w filmie Beresowskiego zarzenta pozabawione patosu. Odebranie skradzionego konia nie jest aktem wywodzącym się z patriotyzmu, względnie skomplikowanych przesłanek duszy.

„Rancho Texas” — jak informuje Dłhak — „pierwszy polski western” — musi budzić żywy niepokój ciotek. Ten film zdaje się przedzić zapowiadając, że mamy już za sobą ową dwójką pisse: 1) filmów pre-tenjonalnych, 2) filmów pretensjonalnie reklamowanych. Niedawno jeszcze grano na najwyższych, heroloznych nutech. Czytano z kina trybuna i konesjonal. Wyścigan z rekwizytorni zarzewiale karabiny i podziurawione helmy. Filmy — w podkleście swoim — stawały się referato-kazniami z teza, lub bez tezy. A wida, mimo zrozumiałej



sympatii dla podnoszonego tematu — nie raz i nie dwa tłumili reka-wem ziewanie. Zarazem ciotki od krytyki i reklam przyuczyły się: posiadły łatwość wyprawadania wywodu o niepowtarzalnym dziele sztuki. W ten na przykład sposób „Kryzj Walecznych” — film w gruncie rzeczy przejęty (choć ról-kulaję duże nadzieje swoich utalentowanym autorom) zyskał dzieła. Nie muszę dodawać jak dalece opinia ta jest sprzeczna ze zdaniem „masowego” widza.

Zastanówmy się co ów, zwany masowym, widz wymaga od filmu rozrywkowego. Przede wszystkim zajmującej anegdotali, potem mi-lych, miłych aktorów, dobrej scenarii, ładnej piosenki...

„Rancho Texas” spełnia te postulaty. Przynajmniej spełnia je w dużym stopniu. Na ile rzeczywiście fascynującej scenarii (Błeszczycki, której charakter plastyczny został doskonale podkreślony zdjęciami Romana Kropata, mamy i dobrą piosenkę z dowcipnymi słowami Andrzeja Nowickiego i sympatycznych aktorów. Może tylko z anegdotali nie dzieje się najlepiej, film nie zawsze odznacza się żywą, wartką akcją (myślę tu o pierwszej połowie obrazu z przydługą, choć doskonałą zdjęciem ekspozycyjną, ale włącza się tutaj sprawa warta osobnego omówienia. Zastanówmy się, ktoż w świecie jest adresatem tego filmu? Zdarwać by się mogło, że „Rancho” przeznaczono przede wszystkim dla młodzieży, i to „dziesięcio-latków”. Tymczasem — o Ironio to-



Filmy niedozwolone

Listy, które nadeszły do Redakcji „Odeńsów” w związku z ankietą „filmy niedozwolone” — podzielić można z grubsza na dwie grupy. Jedną, pisane najczęściej przez młodzież — donoszą o wy-padkach oglądania filmów „zabronionych” i sumują uwagi, twzące się tych obrazów. Inne listy, których jeste-mniej pisane są przez osoby dorosłe, nie rzadko przez 70-letnie. Albowiem ton większości listów jest osty a ich styl powtarzające się często pyta-

nie, które odbiera zbyt wyszukanych przyrodników i okraszonych Niesety, żądna z naszych gazet, mających usiałone obłetości — nie pomieszczyby takiego ogromu odpowiedzialności. Trzeba więc być odpowiedzialnym, a materiały przesłany na adres czytelników najbardziej kompetentnych. Potem z zainteresowaniem czekać bezdłiemy co z tego wynikać dalej.

A. J. PIOTROWSKI